

**Joanna Frydrych**

**Szkoła Podstawowa we Wronowie**

***Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej***

Pociąg, turkocząc monotennie, toczył się po torach. Słońce, chylące się ku zachodowi, zaglądało przez przybrudzoną szybkę do przedziału, w którym siedziała ciemnowłosa kobieta w zielonej sukience i dwie dziewczynki w wieku szkolnym, z których jedna miała czuprynę rudą, a druga złote loczki. Koloru oczu dzieci można się było tylko domyślać, bo spały.

Dama w zielonej sukience odwróciła wzrok od okna, za którym przesuwali się pola i lasy, i spojrzała na uśpione siostrzenice. Była ich ciotką, czego zaczynała chwilami żałować, bo na pozór anielsko grzeczne dziewczynki potrafiły dać się we znaki. Teraz powracały z wakacji nad jeziorem, które były dla nich o wiele przyjemniejsze, niż dla opiekunki. Przez głowę „cioci Beatki” przelatywały wspomnienia wieczorku przy ognisku, które dla niej oznaczały nieustanną konieczność pilnowania dziewczynek, z taką pasją wrzucających do ognia rozmaite przedmioty, na przykład budzik czy butelkę soczku, że można było się spodziewać, iż same zaraz wskoczą w ślad za nimi. Inne obrazy ukazywały romantyczne przejażdżki łódką po porośniętym liliami wodnymi jeziorze, podczas których trzeba było czuwać nad dziećmi, usiłującymi nabierać bukietów tych kwiatów. Ale najgorsze były chyba powracające wizje spacerków do lasu, mogących z łatwością zastąpić trening dla szybkobiegacza. Mądre podopieczne nigdy nie biegły razem w jednym kierunku, gdyż szybko odkryły, jak świetną rozrywkę stanowi bieganie po lesie wokół zdezorientowanej cioci, która nie wiedziała, czy najpierw łapać rudowłosą panienkę, czy złotowłosego aniołka.

Pociąg wtoczył się na stację. Teraz wystarczy obudzić dziewczynki, wziąć w rękę walizkę, zarzucić na plecy torby dzieciaczków, dziwnym trafem zapominających je zabrać, przeprowadzić lube dziatki przez dwie ulice, co gwarantowało następne niezapomniane przeżycia, i koszmar na jawie się skończy. Nikt chyba nie dziwi się nieszczęsnej „niani”, że, z westchnieniem ulgi padając na fotel, powiedziała: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Owszem, wakacje to przyjemna rzecz, mimo wszystko, ale najwspanialszy jest powrót do domu.

**Lena Starzyńska**

**Szkoła Podstawowa nr 96 im. Ireny Kosmowskiej w Warszawie**

***Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej***

Pewien konik polny, który Eustachy się nazywa, został zaproszony przez swego kuzyna.

Długą drogę przebył, pociągiem i autostopem. Myślał też o podróży samolotem, ale tego by było za wiele, przecież jest natury przyjacielem.

Gdy do Międzyzdroju przybył, kuzyn od razu zaprosił go na grzyby. Chodzili po lesie długimi godzinami, choć Eustachemu wydawało się, że latami. Kiedy skończyli, do domu kuzyna wrócili. „Całkiem przytulna chatka, jak na takiego gagatka” – Eustachy myślał, ale się nie domyślał, co go czeka – i nie będzie to rozlanie mleka!

Gdy następnego dnia o poranku stanął zadowolony na ganku i świeże powietrze wdychając, usadowił się na hamaku, by doznać lenistwa smaku, nagle coś zastoniło mu słońce. „Czy to chmury lśniące?!” – zastanowił się konik. Wtem coś zaczęło go gonić, a właściwie lecieć prosto na niego. „Co tu robić?! Wejść na drzewo!!” – myślał zrozpaczony, bo wrogami okazały się dwie wrony. Skakał w dal i w dal. Wiatr z szyi zdmuchnął mu szal, ale ptaki i tak nie ustępowały, bo się najeść chciały. W końcu nasz konik znalazł kryjówkę. Za cel obrał borówkę, ukrył się w jej liściach, a zmylone ptaki poszukiwały go w winogron kiściach.

Kiedy wszystko ucichło, udał się Eustachy do domu, bo takie życie, choć koło lasu, niemiłe nikomu. Gdy na swym podwórku usiadł i odetchnął, zrozumiał, że się ze śmiercią zetknął, ale ją sprytnie przechytrzył i nim się kto obejrzał, już w domu leżał.

Morał z tej bajki jest krótki i niektórym znany: w domu jednak jest najlepiej, lepiej nawet, niż u mamy.